NUMER 5. DNIA 2-go LUTEGO 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

KATEDRA NA WAWELU.

O restauracji katedry krakowskiej drukuje się tyle artykułów, i tak nieraz z prawdą sprzecznych, że czytelnicy dzienników nie znają właściwego stanu tej sprawy. Cała ta sprawa odbywa się w tajemnicy, i dlatego o niej wymykają się tylko luźne wiadomostki, które nie dają właściwego pojęcia o rzeczywistości. Z dotychczasowych głosów, w tej sprawie publikowanych, widać tylko jedno, że na głowę restauracji składają wszyscy winę, a tu wszyscy są za to złe odpowiedzialni. Społeczeństwo nasze tak jest rozbite na atomy, że nie umie zdobyć się na krok męski, stanowczy. Ludzie tylko narzekać umieją, a ci, co wszystkiem rządzą, śmieją się z tych płaczliwych rekryminacyj. Przed kilku jeszcze laty *Kurjer Lwowski* wypowiedział kilka słów prawdy w sprawie restauracji katedry krakowskiej i zażądał opieki publicznej nad nią, bo naprzód katedra nie jest budynkiem prywatnym kilku dygnitarzy, a powtóre fundusze, na odnowę katedry składane, są własnością publiczną, i reprezentacje społeczeństwa mają prawo do wglądania w szafunek grosza publicznego. Odpowiedzią na to było ogłoszenie rachunków z jednego roku wydatków w *Czasie*, ale tak mądrze ułożone, że ani mądry ani głupi nic się z tego nie dowiedział. Zamykano usta zapewnieniem: „O co wam chodzi, kierunek restauracji katedry krakowskiej spoczywa w rękach osób zasługujących ze wszech miar na zaufanie, a jakiem dzieło będzie, zobaczycie“.

No i pokazało się to dzieło na święta wielkanocne w roku przeszłym; nastąpiło rozczarowanie i okrzyk krytyków po niewczasie. Przecież ci sami znawcy, co z ostremi recenzjami restauracji katedry wystąpili, dobrze wiedzieli, co się na Wawelu dzieje. Teraz wszystkiemu ma być winien ks. kardynał Puzyna, który, jak sam twierdzi, zdrowie stracił przy podjęciu restauracji katedry, i największemu swemu wrogowi nie śmiałby życzyć czegoś podobnego, jak odnowa katedralnego kościoła. Czyż czynnikom, składającym fundusze na ten cel, nie przysługuje prawo zażądania reprezentanta w komitecie budowy? Czy na to istnieje władza konserwatorska, posiadająca nawet egzekutywę wojskową, aby jej reprezentant tylko wobec komitetu restauracji katedry krakowskiej nie używał? Przecież nie śmianoby wieży Zygmuntowskiej nakryć tak po chińsku, gdyby planu na nią nie zatwierdził c. k. konserwator. Zatem za wszystko, co przy odnowie katedry popełniono niewłaściwego ze stanowiska poszanowania zabytków przeszłości, odpowiada p. dr. Tomkowicz bez względu, czy zrezygnował z udziału w komitecie. On tam zasiadał z urzędu, a nie z łaski biskupa. Powód jego obecnej rezygnacji był całkiem inny, niż gazety doniosły. Przez pierwsze dwa lata restauracji katedry, ów z Bożej, a właściwie biskupiej łaski, utworzony komitet prowadził protokoły swych obrad i uchwał. W następnych dwóch latach zaniedbano tego obowiązku, gdy c. k. konserwator teraz zażądał przywrócenia pisania protokołów, członkowie Komitetu nie uznali tego za potrzebne i kardynał się na to zgodził. Wskutek tego postępku pan dr. Tomkowicz wy-

stąpił z Komitetu, nie przestał przecież być c. k. konserwatorem.

Przy tej okazji dowiedzieliśmy się, kto to składał ten komitet restauracji katedry: hr. Lanckoroński, architekt Stryjeński, radca dworu dr. Marjan Sokołowski, konserwator rządowy, dr. Stanisław Tomkowicz, kierownik budowy radca budownictwa Sławomir Odrzywolski, — z kapituły: ksiądz kan. Kustosz i jako zwierzchnik — książę biskup, obecny kardynał X. Jan Puzyna.

Umowa z kierownikiem, budowy o honorarjum zawarta, świadczy najlepiej, że sobie nikt nie zdawał sprawy z istoty tego czynu. Przyznano mu 10 proc. od wszystkich wydatków z utrzymaniem osobnem biura technicznego i zwrotem kosztów .podróży architekta. Przecież to było lekceważenie grosza publicznego. Architekt jeździł sobie po całej Europie na studja do restauracji katedry za pieniądze składkowe, budowę na miejscu prowadzili technicy, opłacani osobno z funduszów publicznych, a kierownik chował co rok potężną sumę do swojej kieszeni, na czysto, po obliczeniu 10 proc.

Pod względem technicznym nie było absolutnie żadnego dozoru, architekt kierujący, pan profesor Odrzywolski robił sobie, co mu się tylko żywnie podobało, bo mu to Komitet, z kardynałem na czele, zatwierdzał zawsze.

Dwa razy robiono modele ogromne gipsowe wieży Zygmuntowskiej, dwa razy wykonano posąg doktora kościoła, brakującego na ścianie w nawie głównej; w robotach nie było nigdy żadnego systemu; po uprzątnięciu rusztowania jednego, stawiano później w tem samem miejscu drugie, bo architekt zapomniał zarządzić odrazu robót wszelkich. Do dziś dnia, pomimo zdjęcia rusztowań w korpusie kościoła, nie włożono figur Świętych doktorów Kościoła w ich miejsca, pod baldachy, więc trzeba będzie na nowo stawiać rusztowania dla ich ulokowania.

Zanieczyszczona katedra cała wapnem, kurzem, rumowiskiem na grubość kilku centymetrów, na to została oczyszczoną roku przeszłego, aby ją powtórnie tego roku przywracać do porządku, bo roboty dalsze trwają bez końca po całym kościele. Wszystkie kaplice naokoło pozabijane deskami i rozbabraną robotą, gdy przecież sam rozum wskazywał odnowę systematyczną po kolei. Skarbiec, przed 6 laty rozpoczęty, do dziś dnia nieskończony, a sarkofag Władysława Jagiełły, rozebrany na części od kilku lat, przewala się po ziemi, bo panu architektowi nie spieszyło się z przeniesieniem pomnika, gdy stało rusztowanie w kościele. Teraz na nowo w nawie głównej przyjdzie wznosić rusztowanie dla ustawienia pomnika Jagiełły. Tak było z baldachem dla Władysława Łokietka.

A teraz — istnieje inna kwestja przy restauracji katedry, bo znaleźli się osobni fundatorzy na odnowę nowych części.

Na restaurację kaplicy królowej Zofji ofiarowała 50 tysięcy guldenów wnuczka leżącej tu Wąsowiczowej, księżna Konstantowa Lubomirska. Jest za co kaplicę odnawiać, lecz nikt nie wie, kto tu znowu dozoruje; czy c. k. konserwator czuwa nad odbudową tej cząstki katedry, tak samo, jak nad całością katedry, że architekt przeprowadza swoje nieszczęśliwe pomysły. Pomnik kardynała Zbigniewa Oleśnickiego podobno też ktoś sprawił z własnej kieszeni za 20 tysięcy, niewiadomo — czy guldenów, czy koron? a to takie paskudztwo, że pan dr. Tomkowicz nie powinien był pozwolić go wprowadzić do katedry. I do tego robota to niemiecka, fatalna, bez podpisu autora. Pomnik też kardynała Dunajewskiego, sprawiony kosztem czcicieli ś. p. nieboszczyka, wypadł tak ubliżająco sąsiedztwu, że też można mieć żal do konserwatora, iż dopuścił taki chybiony utwór. Nie mówi się o biuście, lecz o ramie dla tej rzeźby w postaci lichego kominka z wazą na zupę u góry.

Robi się też we Włoszech sarkofag dla królowej Jadwigi, kosztem hr. Lanckorońskiego. Pomimo ofiary hrabiego, znającego się dobrze podobno na wykopaliskach w Małej Azji, naród polski miałby prawo wiedzieć i coś powiedzieć, jaki ma być pomnik dla ubóstwianej królowej, nie dopiero wtedy, gdy już w katedrze stanie gotów.

Pan hofrat Sokołowski rozumie się dobrze na sztuce i zabytkach przeszłości na Wawelu, zasiadał przez cały czas w owym przybocznym komitecie restauracji katedry, więc powinien zarówno z drugimi odpowiadać za wszystko, co się tu stało, a nie spędzać na kardynała, którego przecież nie można uważać za wyrocznię w sztuce i archeologji. Słyszy się ciągłe wymyślania na wyrzucanie pomników z katedry, jakieś szowinistyczne frazesy o pozbawianiu najcenniejszych pomników, i temu ma być winien kardynał. Tym

andronom raz trzeba tamę położyć i powiedzieć prawdę, że to plotki ludzi, psujących właśnie główną istotę sprawy restauracji. Nie widzi się potem tego, co jest okropnem złem, a krzyczy się o głupstwa, nie warte funta kłaków. Że pozostawiono ową szkaradną dobudówkę z 18 wieku nad całą nawą, otaczającą przezbiterjum, że wzniesiono, a raczej sprawiono na nowo ów brzydki barokowy ołtarz wielki, który ma być pamiątką dawnej Polski świetności, a jest tylko okazem barbarzyństwa zwierzchników katedry krakowskiej w 17 wieku, którzy dla tej ciężkiej machiny wyrzucili prześliczny ołtarz renesansowy, sprawiony przez biskupa Maciejowskiego w r. 1550. Ten to był drogą pamiątką, bo przy nim koronowano Zygmunta Augusta i Stefana Batorego. Przed tamtym składano trofea ze zwycięstw nad Moskwą i Turkami. Przed tym obecnym nic się podobnego nie działo, chyba że oglądali go wszyscy najezdcy, co do Krakowa na rabunek przychodzili.

Profesor Wojciechowski w swem znakomitem dziele o kościele katedralnym krakowskim przestrzegał, aby tego brzydkiego ołtarza nie wprowadzać na powrót do katedry, lecz tej rady zbawiennej nie usłuchano. Cóż więc z tej świątyni wyrzucono takiego, że aż jęki się o to rozchodzą? Brzydki posąg Skargi, który tu stał, jak Zbawiciel, na środku z tą samochwalną tablicą, że go dał ustawić baron Helzel von Schornstein, zresztą przeniesiono go do kościoła Ś. Piotra, bo tam jego zwłoki leżą, więc tam jego właściwe miejsce.

Usunięto posąg z marmuru Włodzimierza Potockiego, syna Szczęsnego, młodzieńca zmarłego w wieku lat 22. który przecież niczem, nie zasłużył, aby stanąć obok Kazimierza W. na Wawelu. Że to dzieło Tordwalsena, to do muzeum sztuki dlań droga. Ostatecznie nie wyrzucono go, bo stanie w kaplicy królowej Zofji.

Wyprzątnięto pomnik jakiegoś hrabiego Ankwicza, zmarłego w roku 1840., który nie miał żadnego prawa do egzystencji na Wawelu. Publiczność krakowska, gdy ten marmurowy sarkofag ustawiono w katedrze, taki epigram na nim umieściła:

Dwóch z tej familji doszło sławy celu:
Jeden na szubienicy, drugi na Wawelu.

Teraz rozlega się krzyk o usunięcie podobno pomnika Skotnickiego. Studjował sztukę we Florencji jakiś tam Bogoria Skotnicki i tam umarł w r. 1808. Żona mu postawiła nagrobek, z alabastru wykuty przez Stefana Ricciego, w kościele we Florencji, a kopję tegoż przysłała do katedry na Wawelu, gdzie go ustawiono w kaplicy akademików, zwanej także Szafranców. Tu spoczywają znakomici rektorowie uniwersytetu Jagiellońskiego, wśród nich też uczony Miechowita kronikarz, i brak miejsca na ich nagrobki, więc przeniesienie pomnika Skotnickiego i to w kopji do innego kościoła nie jest żadną zbrodnią. Przyczem warto dodać ad usum krytyków, że to dzieło nie jest Canowy, jak roztrąbili, lecz Ricciego, i to w kopji!

Cóż jeszcze wyrzucono tak wielkiego z katedry? Cztery szablonowe ołtarzyki marmurowe rokoko, jakich w przeszłym wieku podobno sufragan Potkański więcej, niż tuzin, napakował do katedry, jednakich, jakby pod sznur z jednej formy. Pozostało ich jeszcze dosyć takich samych, z owemi powykręcanemi słupami z marmuru, w dalszych miejscach kościoła. Nie łączyło się z niemi żadne wspomnienie historyczne, wartość ich spoczywała w obrazach, malowanych przez Konicza i dla nich miejsce najwłaściwsze w muzeum dla sztuki, jako prac artysty polskiego z połowy 18 wieku. Szpeciły te ołtarzyki śliczną strukturę gotyckich filarów, i jeżeli miały być okazem kultury z tego wieku, to wystarczą z nich te, co pozostały. Gniewamy się o witraże, że na nie pomysły, oraz ich samych wykonanie oddano niemcom, mając swoich ku temu uzdolnionych sztukmistrzów. Przypisywano ten postępek też kardynałowi, a teraz pokazało się, że to uczynił architekt Odrzywolski, bo zamówił odrazu witraże do kościoła w Bieczu, gdzie już sam on decyduje, bez udziału biskupa, i przyszły razem gotowe witraże do obydwóch kościołów. Tak przynajmniej doniósł „Głos narodu“, jeżeli to plotka, to się zaraz dowiemy.

Fundusze się podobno wyczerpały na zbytkowne, niepotrzebne przedmioty. Poco zapchano całe prezbiterjum stallami, kiedy ich tam tyle nigdy nie było. Zresztą, jeżeli się komu podobało wyrzucać pieniądze na rzeczy, nie mające związku z utrwaleniem katedry, to powinien był jakiś reprezentant składkujących osób, temu się sprzeciwiać. Brakło grosza na pomalowanie sklepień i ścian, że katedra wygląda dziś, jak odarta po pożarze, zatynkowana, jak budynek przed ukończeniem. Po cóż trwoniono fundusze na platynowe orły na dachy, na korony, smoki i różne

figlasy w wieży Zygmuntowskiej, których tam nigdy nie było? Poco restaurowano resztki malowań po ścianach, które wyglądają, jak łaty, poprzypinane do ciała? Poco wydano takie mnóstwo grosza na odnowienie spróchniałego ołtarza wielkiego, za które byłoby coś godnego katedry i odpowiedniego do tego miejsca? Jak mógł zgodzić się konserwator na stawianie murów secesyjnych między filarami, gdy sam w swem dziełku opisuje dokładnie, jakie tam były parapety!

Jak sądzić o zdolnościach takiego architekta, który restaurując stalle z przodu, nie wie, co z niemi zrobić z tyłu, gdy murów nie będzie? Teraz jakieś snuje koncepty ze słupkami, z kratami, przez które i tak brzydkie naplecki stall kanoniczych zawsze będą widoczne. Przecież to już nie należało do kardynała, aby on obmyślał parawan dla tyłów ławek w prezbiterjum!

Patrzyliśmy w Krakowie na odnowę kościoła Panny Marji przed dziesięciu laty, więc mamy pojęcie, jak się odbywa restauracja dawnych budynków. Toż samo odbywa się ciągle u nas po innych kościołach, ale przy żadnym nie napotyka się na takie lekceważenie opinji publicznej, nigdzie tak nie osłaniają się tajemnicą, jak w katedrze. Wszędzie w niej zagrodzone wejście, zakazany wstęp, tylko to wolno wiedzieć, co „Czas“ raczy donieść. Za to ignorowanie narodu przy odnowie katedry, do którego się wyciąga rękę po pieniądze, a wyrzuca, gdy chce zajrzeć do restaurowanej świątyni, mają wszyscy komitetowi nagrodę. Wszyscy jednako zawinili, a społeczeństwo także, skoro pozwoliło się wyzbyć kontroli, jaka mu się należała.

Cóż nam z tego przyszło, że administracja odnowy, pod gorliwem okiem kardynała odbywa się we wzorowym porządku, t. j., że ani grosza nikt nie ukradł, kiedy wyrzucono dużo pieniędzy na rzeczy niepotrzebne, przepłacono kierownictwo budowy, i katedra po wydaniu podobno już pół miljona guldenów, wygląda odarto, smutnie, bez przywrócenia jej właściwej struktury, z nowościami, wcale niezgodnemi z jej charakterem, i jeszcze długo będzie w nieporządku, bo panu architektowi wcale się nie spieszy z ukończeniem restauracji. Skończyłyby się przecież sute honorarja i podróże dla studjów za granicę!

Pojedynki.

O pojedynku pisano i mówiono w ostatnich latach bez liku. Konserwatyzm i radykalizm, wszystkie religje, wszystkie uczucia i kultury, potępiły jego nicość, głupotę i staroświeckość, pokrytą rdzą rycerskości. Średniowieczne sądownictwa, oparte na zabobonach i teologiczno-scholastycznych formułkach, uważały go na równi z pławieniem po głębiach wodnych, chodzeniem po rozpalonych żelazach i inną torturą, za walny, bożą dłonią kierowany, środek dowodowy. Ludzkość poszła szlakiem światła, wlokąc za sobą jeden z najbardziej wydoskonalonych typów sądów bożych: pojedynek. Zaświtał humanizm, potem odrodzenie, encyklopedyzm, wreszcie pozytywizm, a cień pojedynku czołgał się i czołgał za niemi, jak widmo wspomnień pogrzebanych na wieki epok. Runęła inkwizycja, znikły tortury, — został on, silny, drwiący z cywilizacji. Podobny jest zaprawdę do Fenixa, odradzającego się z popiołów lub aloesu, zieleniejącego po długich latach pozornego uwiądu. Im bardziej rozum i wiedza wspinają się na wyżyny, — tem bardziej się rozplenia, rośnie; sterczy zawzięcie wśród współczesnej kultury, jakby na dowód filozoficznej prawdy, że w człowieku, na najwyższym poziomie wiedzy tkwi urodzony zacofaniec.... Z aktu procesowego zamienił się na akt rycerskości, na sposób dochodzenia honoru. Dawni współprzysiężnicy, występujący w obronie swego klienta, noszą nazwę sekundantów, zresztą to samo.

Naprzód się rąbano z poczucia źle zrozumianej i źle odczutej rycerskości, następnie z sztucznie wydętej, idjotycznej donkiszoterji, w końcu dla reklamy i tradycji. Gdy dystyngowany Paryżanin XVII. wieku przybił swego przeciwnika szpadą do muru kamienicy w jasny dzień, wśród zgiełku ulicznej gawiedzi, zdejmował z uprzejmym ukłonem kapelusz i żegnał go: *à bientôt! nous sommes quitte!...* Byle jaka błahostka, zderzenie się przy przejściu ramieniem, niedość grzeczne pozdrowienie, wywoływały katastrofę. Pojedynkowi-

cze z epoki Ludwika XIII. i XIV. przypominali Szekspirowskich borbifaksów, wyciągających co chwila szablę.

Szlachcic z epoki Maksymiliana I. i Götza von Berlichingen zabijał, bo pokutował w nim jeszcze wolny rabuś, wychowany na reminiscencji prawa pięści i na śpiewach o ideałach wojny...

To rycerskość.

W nowszych czasach donkiszoterja przedzierzgnęła się w dążność do zatrudniania sobą opinji publicznej i dorabiania się taniej popularności, zapomocą nieszkodliwych nacięć na skórze....

To reklama.

Poza tem biją się liczni ludzie... dla tradycji. Ale takie zachowywanie w bursztynie czasu marnych, nierozumnych zabytków tradycji, cechuje zwykle społeczeństwa przełomowe, — chwiejne, które nie weszły na drogę zupełnie zdecydowanego postępu, lub parweniuszowskie, które udaną rycerskością pokrywają brak ciągłości swej cywilizacji.

Konserwatorzy tradycji pojmują bardzo często cały nonsens pojedynku, mimo to są o tyle raczej tragiczni, niż komiczni, że nie mają dość odwagi, dość męskiej siły, aby się wyjarzmić z pod gniotu przesądu, nawet wbrew opinji publicznej. W tem przypominają bolesnego naprawdę bohatera „Samotnych“ Hauptmana, który jedną nogę postawił w świecie nowożytnym, a drugą grzęźnie jeszcze w starym. Ci są wizerunkiem naszej epoki, która, jak trumna Mahometa, zawieszoną jest między niebem a ziemią i ani tu, ani tam dostać się nie może... W każdym razie biją się ludzie i z rycerskości i z donkiszoterji, i z reklamy i z tradycji. Cała psychologja pojedynku, — te cztery powody.

Na pojedynku nowszym zawisł duch wieku: uległ zupełnej demokratyzacji. Dawniej był kastowym, stanowym, szlacheckim, — teraz jest ogólnym. To jego jedyny postęp, wynikły z ewolucji społecznej w dziedzinie cywilizacji. — Zresztą to ten sam zgrzybiały staruszek, który uśmiechał się do rycerzy Henryka III. i kładł palec na strunach pieśni minesengerów. We Francji biją się na dobre pogromcy wszelkich tradycji i to nie tylko socjaliści, ubrani po pańsku, posługujący się arystokratycznymi świadkami na wzór Lassale'a, — ale istotnie zwykli, bardzo nieetykietalni żołnierze z pod sztandaru. Idą na łąkę, *...vont sur le pré,* — jak na niedzielny napitek. W samym Paryżu wytworzyła się znaczna liczba pojedynkowiczów — fachowców. Rochefort ma 67 lat i 28 pojedynków za sobą, Cassagnac 56 lat i 23 pojedynków, Ranc 67 lat i 21 pojedynków. Do demokratyzacji pojedynku przyczyniła się także nie mało jego nieszkodliwość. Bandaże zakłada się zwykle na szyję i puls, — a po pierwszem złożeniu się szablą płynie trochę krwi z przeciętego ciała, częściej jeszcze ze skóry. Potem ogłasza się w dziennikach szumny protokół i robi bohaterów dnia. Starzy i młodzi, demokraci zarówno, jak arystokraci, uczą się szermierki, bo i oni z czasem *irons sur le pré*. Ach, taki protokół! Ileż on wart!...

Powiał też po całej Europie prąd humanitarności, dążący do otrzymania pozorów pojedynku, bez jego srogości. Znany mistrz szemierki, Barbasssetti, zaleca w wydanem niedawno w Wiedniu, *Ehrencodex,* rapiry bajecznej lekości, szesnastu dekagramów, aby słabszy bez trudu mógł się obronić silniejszemu. Rany z takiej broni pochodzące, mogą być chyba draśnięciami. Barbassetti wyklucza pojedynki pistoletowe, — bo wynik ich niepewny, od losu i ślepego wypadku zawisły. To niewątpliwie serdeczne usiłowanie, zainicjowane w imię samarytańskich haseł, dało powód do snucia dziwacznych, społecznych i artystycznych teorji. Znakomity wiedeński krytyk teatralny, Herman Bahr, udowadniał w czasopiśmie *die Zeit* (5. marca 1898), że pojedynek przedstawia zwycięstwo zwyczaju nad namiętnością. Kto się bije, okazuje ze względu na społeczeństwo abdykację z swojej urazy i nienawiści... Bahr zapomina, niestety, o głębokiej i smutnej prawdzie, że ludziom wkłada broń w rękę nie ewangieliczny idealizm, ale samolubna obawa, — czy wobec ogółu nie zostaną napiętnowani stygmatem tchórzostwa i braku odwagi, w razie odmowy wyzywającemu. To też w przeczulonem i subtelnem usposobieniu, bujającem po horyzontach sztuki i za nimi niewidzącem świata, sankcjonuje Bahr pojedynek, jako dzieło natchnienia, dzieło artyzmu. Pojedynek sztuką! Prędzej wykrętasy żonglerów lub kontorsjonistów w cyrkach!... Ta droga prowadzi do obudzenia w społeczeństwach zapału i podziwu dla torreadorów hiszpańskich, drażniących czerwoną chustką byka lub dla męczeńskich walk gladjatorów, konających u stóp Cezarów wraz z dogasającym Rzymem... Bo postęp i rozum

tem się różnią od zacofania, że szukają wyjścia na drodze myśli, na drodze ducha, nie miecza i krwi upustu. Bahr tego nie rozumie i apoteozuje zmodernizowany sąd Boży, jako poryw idealny, jako sztukę, godną miejsca u stóp pieśniarza Apolla. *Die Kunst moechten wir zur letzten Instanz des menschlichen Thunszmachen.* Jednostki kulturalne wydelikacone, nie mogąc się zdobyć na wystąpienie za wykorzenieniem pojedynku, szukają pośrednich ścieżyn i stwarzają doktryny, umieszczające przeżytą formę oczyszczania honoru, obok poezji, rzeźby, malarstwa, dramatu, — słowem pod znakiem boskiej liry reprezentanta piękna, promieni, światła: Apolla... To prawdziwy czerw dekadentyzmu, czy pogoni za oryginalnością...

Do nas przedarły się pojedynki — wbrew tradycji narodowej. Duch szlachecki był raczej zawadjackim, rozbujałym, przesiąkniętym tężyzną i buntowniczą fantazją pierwszych wichrzycieli, Mściwojów, Jaksów, niż mściwym, zawziętym. Buchał on nagle ognistym słupem gniewu i gasł prędko, potężnie. W tem przypominał gromy, powstające i ginące wśród jednego drżenia, jednego huku. Rąbać się natychmiast, to dobrze, czekać, to lepiej utopić zwadę w piwie wareckiem lub w miodzie. Zbrojne spotkania, jako środek procesualny, zawlokły z sobą prawa magdeburskie do miast polskich. Społeczeństwo, wykarmione ideałami chrześcijańskimi, buntuje się przeciw takiemu załatwianiu spraw i znosi pojedynek sądowy na sejmie w r. 1505. Polska prześciga tą inicjatywą inne, znacznie bardziej cywilizowane kraje, apeluje do rozumu, do wierzeń religijnych Europy, staje na wysoce etycznem stanowisku. Głos publiczny ma jednę pasję, jedno wyrażenie na napiętnowanie pojedynku: *barbaricus mos,* dziki obyczaj, barbarzyński zabytek... Napór z zewnątrz, podróże paniąt zagranicę, wypaczyły nieco zdrowy instynkt. Za zezwoleniem królewskiem wolno było z czasem stanąć do walki przeciwnikom. Zygmunt Stary raz za swych rządów zgodził się na pojedynek między Spytkiem Tarnowskim a Pieniążkiem. Ostatni Jagiellon chwiejny, miękki, skłonny do przyjmowania wszelkich nowinek, — zmruża powieki i nic nie widzi. Gdy Samuel Łączyński odrąbał głowę pewnemu Szwedowi za drwiny z polskiego tańca i potem stanął przed królem, obwiązał mu Zygmunt August ranę i puścił bez wymówek. Odrzucenie pojedynku i odesłanie obrażonego na drogę prawa, było rzeczą pospolitą. Nie zawieszało ono nad skronią odrzucającego pogardy społecznej, nie wytwarzało pewnego rodzaju *deminutionis civilis,* owszem uchodziło za akt obywatelskiej cnoty i powinności. Dziwna sprzeczność! Społeczeństwo szlacheckie, które umiało doskonale zawichrzać ustawy, potrafiło się idealistycznie do nich zastosować, gdy wypływały z ściśle religijnych przykazań... Pojedynki w prawdziwem tego słowa znaczeniu, z całym ich formalistycznym ceremonjałem, były w Rzeczypospolitej rzadkością. Mimo to statyści i znakomici pisarze „złotej“ epoki naszej literatury występują przeciw nim z ogromną stanowczością. Modrzewski woła: „Czy zemsta jest cnotą, a czemże u was wzgarda krzywdy?“ Goślicki piorunuje na zdrożność sądów Bożych, wtóruje mu Bartosz Paprocki. Powodowski gromiąc w kazaniu w r. 1579 pojedynkowiczów, przytacza słowa hetmana Mielnickiego: „Kto najwięcej krzesze szabelką na dworze, ten nie naciera na nieprzyjaciela.“ Pojedynki grasowały szczególnie w obozach. Trapiły one wyprawę chocimską 1621 r. i kampanje Jana Kazimierza, — chociaż podciągane były pod przepisy o zabójstwach. Jeden z najmądrzejszych Polaków, Jakób Sobieski, kazał synowi Janowi w instrukcji na drogę, unikać francuskich pyszałków, aby go nie wyzwano. Pojedynku mu zakazuje, jako czynu hańbiącego i plamiącego katolickie sumienie. W XVIII. wieku tragicznym i słynnym był pojedynek podkomorzego Poniatowskiego z wojewodzicem lubelskim Tarłą. Cyniczny farmazon i libertyn, poeta Trembecki, uzyskał na bruku paryskim przydomek „zabójcy markizów“ — lecz w ojczyźnie nie próbował swej sztuki.

Jakżeż teraz inaczej!

Zaraza pojedynkowa przecisnęła się do nas w formie najbanalniejszej przeważnie, — w formie zwykłej mensury. Uciekliśmy, odbiegliśmy od tradycji historycznej, od poczucia i odczucia zdrowego narodowego instynktu. Czyżby poeta miał smutną rację, rzucając swej ukochanej ziemi w oblicze frazes: „pawiem narodów byłaś i papugą!“... Staliśmy się bohaterami dramatu Hauptmana z przepołowioną duszą... Nie mamy odwagi wyjarzmić się z pod przesądu, bo nie posiadamy jeszcze dostatecznego zrozumienia i poszanowania dla prawa... Każdy z nas woli być sentymentalnym

rycerzem, niż prawdziwym obywatelem, niż tą wielką jednostką, którą Rzymianie nazwą *civis* określali. A jest u nas jeszcze płytka przekora i niecywilizacyjna manja szarpania brutalnego i drwienia w sposób tuzinkowy z przeciwnika. Dawniej nazywało się to szkalowaniem, dziś walką polityczną. Taki system rozpuszczania namiętności, bez ujęcia ich w pewne godziwe formy, wychowuje całe pokolenia w podrażnieniu, w zawadjactwie, szukającem ujścia nie w czystych źródłach etyki i moralności, — ale w mętach zemsty, w zapleśniałych sądach Bożych. Znieść obelgi niesłusznej, lub zdeptać oszczerstwo u stóp Temidy nie umiemy, bo nie mamy siły etycznej i jesteśmy krótkowidzami na świętość i znaczenie ustaw. Dożyliśmy czasów, że kobiety obsypywały kwiatami morderców pojedynkowych, uwolnionych przez sądy. Tu się ma ochotę powiedzieć za Krasińskim: „już koniec starożytnemu światu!“ Czy koniec?... To jakby Fryny, czy Lidie, rzucające azalje na patrycjuszowskie stoły w czasie bachanalji... Przestańmy być tą „papugą“ Słowackiego — pełną piersią oddychajmy kulturą, grzejmy się w jej słonecznych blaskach, — kochajmy i wypełniajmy jej zdobycze. Bądźmy raczej harmonijną rzeźbą Fidjasza, niż prostackim posążkiem średniowiecza...

Ernest Łuniński.

JÓZEF JEDLICZ.

ŹRÓDŁO.



Głuszą sennych uroczysk, łąk szkarłatnych wonią,
Śpiewem harf rozegrane, tajemnicze — płynę
I wiodę w nieodkrytą, przedziwną dolinę,
A kwiaty najdumniejsze łzy w me nurty ronią...

W me tonie aksamitne, srebrne w świt poranny,
Oczy zmarłych rusałek wylały swe czary;
W mem dnie lśnią skamieniałe, złote słońca żary:
Poję wonną słodyczą świętych pereł manny!

Więc w obłędnych pustkowiach smutku zabłąkany,
Do mych krynic znużony zbliż się, samotniku
I skroń swą rozpaloną zmyj w wodzie źródlanej —

Pij... niedoznanych marzeń przeżyjesz bez liku
I silny, orzeźwiony, pójdź, gdzie samo płynę:
W pełną cudów nieznanych, przedziwną dolinę...

WŁODZIMIERZ JAROSZ.

Pierwsze powitanie.

Strasznie zafrasowaną minę miał stary Misuła, gdy, wszedłszy razem ze świtem na boisko, aby zbudzić synowę, zastał obok niej piątego z rzędu, dopiero co narodzonego wnuka. Chłopiec był zdrów i tęgi — leżał na garstce słomy obok drzemiącej z osłabienia matki i, dygocąc na porannym chłodzie, wrzeszczał na całe gardło.

— No — no... — zrzędził stary, drapiąc się w kudłatą głowę — akurat jeszcze tego trza było. Do kłopotu ze żniwami do całej krętaniny, że

poskrobać się człek nie ma czasu, jeszcze tego trza byłó...

Baba ocknęła się i otworzyła oczy. Na głos tego zrzędzenia przywykła zrywać się odrazu, wdziewać spodnicę i lecieć do chałupy ogień pod piecem rozczyniać, potem krowy wydoić, a potem — potem co trza było, na co był czas. Tak jest od sześciu lat — i teraz. Kiedy usłyszała głos teścia, dźwignęła się i usiadła, aby w tej chwili z jękiem upaść znowu na słomę.

A stary kiwał głową, zafrasowanym wzrokiem wodził wokoło i zrzędził.

— Skaranie boskie z temi dzieciskami... Jedno się nie odessie, a drugie już je. Co ty poczniesz z takim drobiazgiem? — kto tu temu jeść da, nim się to odchowa?... Ba, a porodne, a chrzciny... Nic, ino prosto z pola zgarniaj surowe żyto, młóć, ta do żyda wieź, coby pieniędzy dał...

Byłby był stary dalej na ten temat lamentował, gdyby nie dojrzał zasmuconym, ale bystrym gazdowskim wzrokiem grabi, rzuconych pod wrota boiska. Grabie były przełamane w połowie, a zębów w nasadzie sterczało zaledwie parę.

— Mój dobry Boże — wpadł Misuła w bezgraniczny smutek — mój dobry Boże... że to już człowiekowi żyć nie dają. Krok zrobisz po obejściu, to wszędy szkodę zobaczysz... Już tak człowieka zamordować chcą — o śmierć przyprawić... Każdy pastwi się nad gratem, nad marną chudobą, nad zasiewem, wszędy szkoda i szkoda i szkoda...

Podjął grabie i pilnie je oglądał.

— Najgorętsze żniwa, a tu ktoś z pół dnia na grabie będzie musiał stracić!..

Stary lamentował, zsiniały z zimna dzieciak darł się w niebogłosy, matka słabo jęczała.

Na obejściu powstał ruch. Starsi i młodsi Misułowie, przez ojca przed chwilą zbudzeni, wyciągali się jeszcze chwilę, rozkoszując drzemką — pozrywali się jednak, usłyszawszy dziwne głosy, idące z boiska.

Na progu stanęła świekra, ogromnie chuda i ogromnie zła baba. Obrzuciła wzrokiem całą grupę i, tonem zdziwienia, jakby nigdy nie spodziewała się zobaczyć czegoś podobnego, zaczęła:

— A to co... no — patrzcie!...

Kręciła głową. Miała ochotę wybuchnąć gniewem i zasypać leżącą wyrzutami, ale kobieca natura zwyciężyła w niej świekrę, nienawidzącą synowej. Zmusiła się do troskliwości — wymęczony uśmiech wykrzywił jej starą, bezzębną twarz.

— No — i jakże ci tam, ha?... Syna masz... ha?...

Zabrakło jej słów. Do synowej przemawiała zawsze gniewnie — krótko i szorstko. Teraz było jej jakoś dziwnie nieswojo. Stała, pochylona nad chorą i cedziła krótkie słowa bez związku, które miały oznaczać troskę o młodą matkę.

— Przejdzie... wyzdrowiejesz... Choć to okrutnie nie czas na leżenie... Ale krzyczy — ha?...

Nie wiedziała co robić, co mówić...

Wtem w progu boiska stanął młodszy syn. Skrzywił usta, jak po skosztowaniu czegoś bardzo kwaśnego.

— Ou... psiakrew...

Kiwnął głową — pokręcił się po boisku.

— A gdzie Jaśko?... Przecie z tym interesem trza coś zrobić...

— Ta pewnie, że coś trza zrobić — potwierdził znękanym głosem stary Misuła. Trzymał grabie, stojąc na progu, wybijał kołkiem połamane zęby i mruczał:

— Wsze naprawiaj... Nic, ino naprawiaj!

Ze stodoły wylazł zaspany Jaśko, najstarszy syn Misułów, mąż położnicy.

— Ojoj — joj... — zabierał się do lamentów na wzór ojca. — A toś się, niebogo, urządziła... łyżki strawy nie będzie ci miał kto podać...

Wyszedł na podwórze za matką i bratem.

— Ta bójcie się Boga, czemu tak wszyscy stoicie... Po Maryśkę za potok trza iść, aby dziecko opatrzyła, ta ukąpała...

Stara rzucała po synach gniewne spojrzenia, jakby śledziła, czy dzielą jej oburzenie.

— Aha — polecę ci... Już zaraz trza lecieć? ha?... W sam czas się wybrała rodzić... okrutną pociechę z niej masz... Hej, synu, synu — nie takiej ci żony trza było, nie takiej dla mnie synowej!.. A ty, stara, ino rób, ta rób — haruj, ta haruj, pod nos synowej podaj... I jeszcze cię między ludźmi poobmawia...

Rozgadała się, wzrokiem i gestami wzywając synów na świadków swojej krzywdy.

Jaśko skrobał się w głowę.

— Gdzie to Michał?

— Na co ci Michała? — wykrzyknęła,

— Niech gna po Maryśkę.

— Michał żenie krowy w pole.

— To pożenie po dojeniu...

— Ja zaraz wydoję — upierała się stara — a chudoba po próżnicy w stajni nie będzie stała.

— No, to ja sam pójdę.

Matka mruknęła coś pod nosem. Poszła za Jaśkiem, co skoczył do sieni po kapelusz, spłukała zdjęty z kołka skopiec i za chwilę ze stajni dolatywał na boisko szmer mleka, uderzającego cienkimi sznurkami w drewniane dno naczynia i ostry głos rozgadanej świekry.

— To ja stara z nóg lecę, o wszystkiem muszę sama pamiętać, a ta, akurat, jak na złość, kładzie się... jak na złość. Nastąp, stara czarownico! — wołała do krowy.

— To ona myśli wylegiwać się — ciągnęła dalej — z tydzień może nic nie robić?... Ha?... To taką mam wyrękę ze synowej? Ha?...

Słowa leciały z jej ust prędkie, kłujące, jak osy, przedzierały się przez ścianę drewnianą obory i zapełniały boisko.

A na boisku leżała synowa z dzieckiem zziębniętem. Stary Misuła na progu wybijał u grabi zęby i co chwila powtarzał umartwionym głosem:

— Nic, ino wsze naprawiaj, ta wiecznie naprawiaj!...

Sztuka polska stosowana na wystawie w Sukiennicach.

Urządzono w Krakowie wystawę, która może nie całkiem zadowoliła publiczność, spodziewającą się zapewne niezwykłych rzeczy. Natomiast ci, którzy pracują nieustannie nad rozszerzeniem zakresu motywów narodowych w sztuce, powitali ją z prawdziwą radością. Nikt nie twierdzi, a najmniej chyba ci, którzy wystawę urządzali, aby ona była doskonałą. Znamię pobieżności w zestawieniu nosi na sobie wiele działów. Mimo to, nagromadzony w nader trudnych warunkach materjał, rzuca w niejednej dziedzinie nowe światło na rozmieszczenie okazów artyzmu ludowego i na jego stosunek do sztuki klas zamożniejszych w narodzie polskim.

Rozdzielmy materjał wystawowy. Pierwszy odłam stanowią dla nas dokumenty rodzimej sztuki w postaci okazów albo zdjęć rysunkowych lub fotograficznych. Znajdziemy wśród nich dalsze przyczynki do poznania sztuki Podhala, w postaci łyżników, czerpaków, modelu chaty podhalańskiej i t. p. Do rozszerzenia wątków zdobniczych góralszczyzny przyczyniły się niepomiernie zbiory z gór od źródeł Wisły p. Jerzego Warchałowskiego. Czerpaki o rączkach, naśladujących, o ile się zdaje, głowy jelenie, są kształtu innego zupełnie od czerpaków z okolic Zakopanego, które znamy ze zbiorów p. Dembowskiej i p. Gnatowskiego. Inne okazy, z Beskidów sląskich, z okolic Jabłonkowa również wskazują na pewne nawet umiejscowienie góralszczyzny polskiej, jeśli chodzi o zdobniczość i o kształty. Pan Warchałowski wystawił też szereg zdjęć dźwirz i domów podcieniowych w Jabłonkowie, na które w jednem z czeskich wydawnictw zwrócił też uwagę p. Slama.

Wystawa niniejsza zapoznała nas również z wielką liczbą skrzyń i łóżek malowanych z rozmaitych okolic Polski. Wszystkim znawcom sztuki polskiej nasunęło się przy tej sposobności niezmiernie ciekawe zestawienie zdobniczego rozprowadzenia rośliny na skrzyniach i na pasach staropolskich z fabryki Masłowskiego, Paschalisa, i fabryk słuckich pochodzących. Ornament roślinny, rozwinięty w zupełnie podobny sposób dwustronnie i wzdłuż osi, jest jedynie na pasach barwnie i w rysunkach więcej wysubtelizowany. Natomiast pewne płaszczyznowe pojmowanie kwiatów i roślin odrywa ornament na pasach od jakiegokolwiek historycznego stylu i wiąże je jak najściślej z polską sztuką ludową. Zauważenie to ma doniosłą wartość dla polskiego dekoracyjnego malowania. Pasy polskie, jako płaszczyznowa dekoracja, zawierają w sobie w kolorze i w formie nieskończoną moc prześlicznych motywów swojskich dla tapetowania i malowania. Również tkaniny zbytkowe na suknie i urządzenia wewnętrzne dadzą się wzorować na tych wydoskonalonych przedmiotach rodzimej pod każdym względem sztuki, czego malowania na skrzyniach i wyszywania na serdakach, choć surowsze, dosadnie dowodzą. — Wydawnictwo, poświęcone ornamentyce na skrzyniach i pasach, jest więc dla polskiej sztuki stosowanej wprost nieodzowne. Może p. Andrzej Potocki, posiadający bogaty i liczny

zbiór pasów, dałby się nakłonić do podobnego wydawnictwa.

Ogromną wartość dla polskiego koronkarstwa i aplikacji na ubraniach damskich, mają motywy wyszywań i haftów zebrane przez p. Udzielę. Tam również istnieje tak odrębne ujęcie zdobniczości roślinnej, że należałoby również całe wydawnictwo temu działowi poświęcić. Nieco mniejszą wartość użytkową, posiadają odzienia krakowskie, łowickie i kurpiowskie.

Na prędce zestawiony dział dokumentów z zakresu budownictwa drewnianego dał także bardzo dużo przyczynków. — Szczególnie doniosłe są rysunki wielkopolanina p. Gosienieckiego, artysty malarza i dekoratora. Rysunki te sosrębów, okien i okuć z Gniezna i z Klecka, pokazują dowodnie jednolitość sztuki polskiej, sięgającej daleko, aż do Wielkopolski. Pan Gosieniecki, doskonały rysownik, powinien, koniecznie w tym kierunku dalej pracować i uzupełnić w ten sposób braki, jakie Prusacy w swoich spisach przedmiotów sztuki w Wielkopolsce celowo popełnili, pomijając najcelniejsze zabytki, piętno sztuki narodowej polskiej nu sobie noszące. Pani Bronisława Kondratowiczowa okazała, czem jest aparat fotograficzny w ręku inteligentnego człowieka. Jej zdjęcia ze Szląska Pruskiego i z Zagłębia Dąbrowskiego, udowodniły taką ścisłą łączność budownictwa drewnianego Starej Polski z Podhalem, że dziś wprost nie można mówić o Zakopiańszczyznie w wyłącznem tego słowa znaczeniu, a tylko o budownictwie polskiem w drzewie.

Pan Udziela dał wiele rysunków szczytów ozdobnych chat wiejskich. — Model chaty z Bronowic w powiecie krakowskim, dany przez Włodz. Tetmajera, dopełnia reszty materjałów faktycznych, które w najznamienniejszych postaciach wymieniliśmy.

Nie należy nam jeszcze zapomnieć o spichrzu w Przyszowej z XVI. w., fotografowanym przez p. Tadeusza Żuka-Skarszewskiego, zawierającym w sobie niezmiernie odrębny motyw zakończenia wycinanego.

Usiłowania współczesne w lwiej części wypełniają kompozycje twórcy i ojca nowoczesnej sztuki polskiej stosowanej p. Stanisława Witkiewicza. Ten renesansowej wprost twórczości pisarz, krytyk, artysta malarz i „budarz zakopiański“, zaznaczył swoje imię niestartemi zgłoskami w dziejach naszego odrodzenia. Całość jego usiłowań, czy w budownictwie przepięknego domu „pod Jedlami“, czy w wewnętrznych urządzeniach, wymaga koniecznie osobnego ocenienia. Pan Włodzimierz Tetmajer dał projekt urządzenia „bajecznie kolorowego“ wziętego z izby krakowskiej. Ogólną uwagę zwracają kute w żelazie skrzynki wyrobu p. Staszczyka, wyroby z chińskiego srebra z fabryki Dedrzeński i Sp. na Podgórzu, biżuterja nakład p. Wojciecha Szukiewicza z Zakopanego i okazy twórczości w srebrze z pracowni Karola Czaplickiego. Prawdziwą zaś ozdobą wystawy jest biurko i krzesło w stylu polsko-góralskim, pomyślane i rzeźbione przez słynnego naszego snycerza p. Wojciecha Brzegę. Wyłamuje się on z tego utartego przez p. Kowatsa zwyczaju „psucia“ drzewa siecią „leluj“, a daje układem wewnętrznym, linją i formami sprzęt nawskroś rodzimy, a jednak przepięknie wykonany.

Ściśle umiejscowione i uzasadnione zdobienie, doskonale rzezane i w tempie utrzymane czyni z kompozycji p. Brzegi rzeczy pierwszorzędnej wartości. Niesłychanie trudno jest opisać i ocenić szczegółowo wszystko, co się przed oczyma i rozwagą przesunęło. Całość jednak jest tak doniosłym krokiem naprzód, na polu odrodzenia polskiej sztuki stosowanej, że nie sposób jest nie uznać czynności pp. Tychego, Procajłowicza, Tetmajera, Udzieli, Bukowskiego, Warchałowskiego, Kopery, którzy nawiązawszy do prac pp. Dembowskich i p. Gnatowskiego w kierunku zbiorów, a prac p. Witkiewicza w kierunku pozytywnej twórczości, sprawę sztuki narodowej naprzód popchnęli.

Kazimierz Mokłowski.

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

Tułał się potem Bóg wie gdzie, cierpiał chłód, głód, nędzę i stokroć gorszą od nich niewolę. Najcięższą przecież dla niego raną była śmierć Brzeszcza. Ale on nie był z tych, którzy zważają na rany. Jeśli się kiedy poskarżył, to jednemu Bogu i czynił dalej, co czynić należało. Wielka rzecz, że tam coś w jego sercu płakało; ani ran, ani łez, nie liczył nigdy.

— Pewno panienki na wieś chodziły — zapytał znowu — pewno do starej Panasowej. Nosiły lekarstwa, przysmaki, kurczątka, rosołki. I tak zawsze same. Boże broń wypadek jaki...

— Nie zrzędź Berwisiu — przerwała Marynia — wiesz przecie — że to nasza rzecz opatrywać chorych.

— Mamy zresztą Burasa.

Duży kundel z dużemi oczyma, który biegał w około, goniąc jaskółki, przystanął słysząc swoje imię i zaczął się łasić do starego, aż mu łapy położył na piersiach.

— No, no — mruknął Berwicz — odpychając psa łagodnie — ja tu gawędzę, a muszę do mamy; ot i do gospodarstwa. Tyle czasu mnie nie było.

— Bądź spokojny Berwisiu — przez te parę dni nic się nie zawaliło.

— Ot, co Marynia wie. Orkowski pewno tyle głupstw narobił — że nie naprawię przez parę tygodni.

Nasunął kapelusz na głowę i żołnierskim krokiem poszedł ku domowi.

Pani Teresy Marskiej nie było ani na ganku, zastawionym kwiatami, ani w pokojach, ale on wiedział, gdzie jej szukać, bo nie zatrzymując się i nie pytajac się nikogo ze służby, wyszedł szklannemi drzwiami salonu do ogrodu i skierował się prosto ku grabowemu szpalerowi, który go dokoła obiegał.

Szpaler tworzył altanę, z wyciętym widokiem na moczary; pokrywała je bujna zieloność, gdzieniegdzie przerżnięta gładką tonią wód, czerwonych w tej chwili od łuny zachodzącego słońca. Wody te wyglądały jak krwawe ślipia otchłani. Za moczarami wił się Dniepr, podobny teraz do ognistej wstęgi okolonej wiankiem lasów czerniejących na skraju widnokręgu.

Cała zachodnia część nieba gorzała i w fantastycznym korowodzie chmur, mieniła się purpurą i złotem, a pani Teresa była zapatrzona w dobrze znany sobie krajobraz, który w tej chwili miał jakąś pożarną grozę. Na tle jego rysowała się jej smukła postać, objęta gładką, czarną suknią. Ujrzawszy ją, Berwicz zdwoił kroku. Usłyszała go, odwróciła się szybko i wyciągnęła do niego delikatną rękę, on ucałował, jak relikwie.

— Chwała Bogu Berwisiu, żeś powrócił, wyrzekła.

Ona także, jak córki, nazywała go Berwisiem.

Stary przez chwilę wpatrywał się bardzo w jej twarz, której zwykła bladość znikała teraz pod całunkami słońca, jakby powracały na nią barwy młodości. Łuna zachodu padała na jej czoło, na jasne włosy odbijała się w łagodnych, siwych oczach i uwydatniała niezmierną słodycz, rozlaną w smętnym uśmiechu, okalającym usta.

Berwicz zdawał jej sprawę z tego co zrobił w mieście, z interesów, które go tam powołały. Słuchała go pilnie, niekiedy zadawała pytania, czyniła uwagi. Obchodził ją widocznie każdy szczegół, ze wszystkiemi była obeznana.

Wielkim majątkiem Marskich, Berwicz rządził umiejętnie. Od kilku pokoleń byli mu oni przyjaciółmi, rodziną, nazywał ich dobroczyńcami, chociaż gdyby przyszło do porachunku, nie wiadomo, kto byłby czyim dłużnikiem. Panią Teresę i jej dzieci Berwicz kochał jakby były jego własne. On jeszcze matkę pani Teresy znał młodą Brzeszcza, którego własnem ciałem zasłonił od śmierci — był to przecież jej ojciec.

Berwicz przeciw zwyczajowi, krótko załatwił się ze swoim raportem. Zamiast obrachowywać poraz setny kapitały, od których odebrał procenty, rozwodzić się na tem co przeznaczone było dla Ignasia a co powinno przypaść na dział Maryni, co Jadzieńki, siedział zafrasowany na brzozowej ławce obok pani Teresy i raz wraz spoglądał jej w oczy.

Ona też poznała, że choć interesy poszły mu dobrze, był jakiś nie swój.

— Berwisiowi coś jest, zapytała z niepokojem, czy broń Boże nie chory, dodała z troskliwością. Powiedz Berwisiu, czy ci co dolega.

Stary machnął ręką, powstał z ławki, postąpił parę kroków jakby chciał odejść, powrócił i stanął milcząc przed panią Teresą.

— Oho! Berwiś ma coś do mnie na sercu, już ja to widzę — wyrzekła.

Berwiś pochwycił jej ręce w swoje.

— Pani moja, szepnął nagle przyciszonym głosem, tyś to zrobiła?

Podniosła na niego jasne oczy, błyszczące teraz dziwną stanowczością.

— To i cóż? — wyrzekła.

— Nieszczęście, mruknął, nieszczęście. Czemuż mnie tu nie było.

— Właśnie, nie chciałam żeby na ciebie mogło paść podejrzenie — pochwyciła z żywością.

Pokiwał smutnie głową.

— Tak, tak, niech Teresia teraz patrzy jakby co najlepszego zrobiła. A tu może być bieda. Zapomniał się i nazwał ją po imieniu, jak wówczas, kiedy nosił ją na ręku.

— Tak, tak, może być bieda — powtórzył zafrasowany puszczając jej ręce.

— To i cóż, odparła, odkądże to mamy rachować się z biedą?

Oj pani! pani!

— Jest też o czem mówić, przerwała. Wstydź się Berwisiu. Wiesz zresztą, że umiem być ostrożną.

— A jakżeś to zrobiła?

— Myślałam o tem od dawna.

— A mnieś nie powiedziała.

— Po co mówić. Ty wiesz przecież żem nie mogła pozwolić by ten krzyż upadł jak tyle innych... Póki ja żyję, on stać będzie.

Głos jej był stanowczy, nabierał metalicznego dźwięku, tworzył uderzającą sprzeczność z postacią, która pomimo lat zachowała jakiś urok dziewiczy.

— A ja, zawołał Berwicz, przecież ja tu jestem, mogłaś się na mnie spuścić. Ot czekałem tylko aż gdzie wyjedziesz.

Położyła mu ręce na ramionach, patrząc na niego promiennym wzrokiem.

— Widzisz! mieliśmy jedną myśl. Ja wiem żebyś ty o krzyżu pomyślał. Ale on do mnie należy.

— Do nas, poprawił ją Berwicz.

— Tak, do nas wszystkich, co czcimy krew męczeńską, powtórzyła z mocą.

I wskazując zaczerwienione niebo odbijające się w zwierciedle wód, dodała:

— Widzę ją zawsze, widzę wszędzie.

Zaplotła silniej ręce i stała milcząca. Tylko jej usta zdawały się wymawiać jakąś cichą modlitwę pełną łez i grozy.

Zbliżające się głosy przerwały niemą modlitwę kobiety i zamyślenie spoglądającego na nią Berwicza. Szpalerem szły panienki.

— Czy nie było listu od Ignasia, zapytał Berwicz, chcąc zwrócić w inną stronę myśl pani Teresy.

— Pisał wczoraj, odparła trochę zakłopotana.

— Kiedyż przyjedzie?

— Nic o przyjeździe nie mówi, sam tego nie wie.

— Jakto nie wie? Przecież skończył już raz te nauki.

— Skończył, zdał egzamin, ma dyplom. Wraca nam jako wykwalifikowany agronom.

— Oj to! to! roboty jest po uszy. Ja już stary, rady sobie dać trudno. Czemuż go dotąd niema. Toćże go wyglądam jak kania dżdżu.

— Jest u krewnych, wybiera się z nimi do morskich kąpieli gdzieś koło Rygi. Pracował, no a teraz się bawi.

— Bawi, bawi, powtórzył z namysłem Berwicz, hm! bawi!

To słowo nie trafiło mu do przekonania.

— My starzy Berwisiu, rzekła Teresa z pobłażliwym uśmiechem, nie wiemy co to zabawa. Widzieliśmy tyle strasznych dni, że nie mieliśmy czasu być młodemi.

— Albo to prawda! wybuchnął Berwicz, podnosząc głowę a z pod mlecznych brwi, źrenice jego tliły ogniem. Jakto? ja, ja młodym nie byłem? Co to gadać. Dałby Bóg żeby młodym tak dzisiaj paliło się w głowie, serce tak biło jak mnie niegdyś. A kiedy wspomnę te czasy, to jeszcze bije tak samo. Bawiliśmy się i my, tylko zabawa wówczas była inna, lała się wśród niej krew, bo to taniec był z wrogiem a gra szła o życie. Ja innej nie rozumiem...

Pani Teresa pobladła... On to spostrzegł.

— Ot stary a głupi zawołał. Na co ja to mówię.

Uderzył się ręką po czole, nasunął kapelusz i oddalił się sążnistemi krokami w stronę fol-

warcznego dziedzińca, skąd zaraz zagrzmiał donośny głos jego, dający jakieś napomnienia.

Pani Teresa pozostała zamyślona. Słowa Berwicza sprawiły jej przykrość tem większą, iż zbudziły niepokój, który daremnie starała się uciszyć. Mogła przed nim tłumaczyć syna, trudniej było wytłumaczyć go przed samą sobą. Zbyt poważnie zapatrywała się na życie, by radą być ze zwłoki Ignasia. Tęskniła za nim, przez lat parę widywała go tylko dorywczo, a listy jakie pisywał, wcale nie zaspakajaly jej serca. Były to listy krótkie, suche, trzymały się jedynie dziedziny faktów, nie mówiły o myślach i uczuciach. Wprawdzie w listach pisywanych pocztą, trzeba zachowywać ostrożność, ale bolało ją to, że syn nie odczuwał tej potrzeby wywnętrzenia się, którą odczuwała ona.

Działy się też, teraz w kraju rzeczy, które przejmowały ją taką zgrozą, że pragnęła podzielić się nią z ukochanem dzieckiem, a przynajmniej wypłakać przed nim łzy bolu i oburzenia. Warszawa witała nowego cara, jak zbawcę, słała mu się do stóp, uważała za radosny dzień, w którym raczył zawitać do miasta, na wskroś przesiąkłego krwią i łzami.

W Malińcach panował z tego powodu ponury nastrój, a w sercu pani Teresy budził się żal, że Ignaś bawił się teraz, właśnie teraz, w takiej chwili. Był to żal nieokreślony, subtelny, przecież dojmujący, bolało ją to faktyczne stwierdzenie duchowego rozłamu pomiędzy nią a synem. Czuła ten wzrastający rozłam od pewnego czasu, a nie umiała sobie z niego zdać sprawy. Młody jest, powtarzała sobie, ażeby go usprawiedliwić. Ale czyż młody nie powinien goręcej jeszcze odczuwać tej hańby, która dziś łączyła się do wiekowych cierpień?

Oparła się znów o pień grabu i zapatrzyła w krajobraz, znany sobie tak dobrze a tak miły oku i sercu, bo łączyły się z nim, wszystkie jej wspomnienia. Urodziła się i wychowała w Malińcach. Maleńką dziewczynką patrzała na te moczary, rozciągające się ponad Dnieprem, na wody po nich rozlane, niekiedy błękitne jak niebo, to znów czarne jak chmury, czasem złote od promieni słonecznych albo też jak w tej chwili, krwawe od łuny zachodu.

Z każdą barwą, z każdym momentem przyrody, łączyły się dla niej wspomnienia, ten niewidzialny a najdroższy skarbiec, zbierany przez życie całe, ale krwawa barwa budziła ich najwięcej. Na jej tle występowały widma ukochane pomordowanych i obraz, którego nic w pamięci zaćmić nie mogło. A jednak działo się to dawno, była jeszcze dzieckiem. Widziała wówczas pełno takich plam krwawych, chociaż nie była to godzina zachodu a słońce przysłaniało ciężkie chmury. Widziała je na zielonych trawnikach ogrodu, na stratowanych zbożach, ciągnęły się smugami na piasczystej drodze, gdy stara niania uciekała co sił starczyło, ciągnąc ją za rękę...

Długo potem z krzykiem zrywała się ze snu i utulić ją było niepodobna. Zdawało jej się, że słyszy ciągle huk wystrzałów, dzikie wycie moskali, rozdzierające jęki zabijanych, że widzi wszędzie krew, dym i płomienie.

Opowiadano jej potem, że w czasie powstania, spotkał się tu z moskalami oddział Brzeszcza, że oddział poszedł w rozsypkę. Moskale palili, rabowali, zabijając bez pardonu tych, co im w oczy popadli. Wówczas to, na rozstajnej drodze, pod krzyżem, ranny Brzeszcz, został rozstrzelany. Matkę jej, chorą wówczas, chłopi cudem prawie ocalili. Połowa wsi poszła z dymem i byłaby zgorzała wieś cała, gdyby Bóg nie zesłał tak strasznej burzy, że potoki deszczu zalały płomienie.

Te wypadki pierwszych lat, rzuciły cień na całe życie pani Teresy. Nie miała ona nigdy swobody dziecięcej. Nietylko budziły ją, ze snu, te straszne obrazy, nieraz nagle, wśród zabawy z innemi dziećmi stawały jej nagle w myśli, a wówczas śmiech znikał z ust, twarzyczka bladła, zatrzymywała się przerażona, z oczyma rozwartemi szeroko, jakby odgrywała się przed nią tragedja, ojcowskiej śmierci.

Niewesołe też było życie dziecka w Malińcach. Oprócz cienia wspomnień, padł na nią cień matczynej boleści. Matka nie zdjęła nigdy szat żałobnych, chodziła wśród ludzi jak widmo, nie należące już do tego świata. Niby chorą nie była, nie skarżyła się nigdy, ale coraz bledsza, coraz wątlejsza, chyliła się zwolna do mogiły. Widocznie tylko córka wiązała ją do życia, bo gdy siedmnastoletnia Teresia, zaręczyła się z Marskim, umarła nie doczekawszy nawet jej ślubu.

Śmierć ta, omroczyła kirem pierwsze gorące uczucia dziewczyny i krótkie lata jej szczęścia. Teresa kochała męża, jak matka jej kochała ojca, jak ludzie w Polsce kochać umieją, nie zatapiając się w samolubnem uczuciu, ale po nad nie,

stawiają kraj, któremu służą z zapomnieniem siebie. Taka miłość, podsycana ciągłą ofiarą, ciągłem niebezpieczeństwem, niema równej sobie, bo zapala się tylko w wielkich sercach i jak ogień żelazo, stapia je sobą nierozerwalnie.

Wprawdze pora zbrojnej walki minęła, ale walka cicha, nieustanna trwa, trwać musi dopóki tylko uderzać będą polskie serca. Taką walkę prowadzili Marscy. Żyli pod ciągłą grozą nieszczęścia, ale ta groza sama, powiększała upojenia obecnej chwili, nadawała dziwną intenzywność miłości bo każdy uścisk, mógł być ostatnim.

Były to lata pracy, trudów, fortelów, porażek i zwycięstw, nieustannego niepokoju ale i szczęścia wyższego nad marzenie, opromienionego jeszcze nadzieją, że posiew ich myśli wyda kiedyś błogosławione owoce. Oboje lubili wówczas w dnie pogodne, patrzeć na moczary lśniące błękitem i słońcem, razem oparci jedno na drugiem czuli zgodne uderzenia serc swoich.

Dochowali się potomstwa i cieszyli się niem, bo dzieci miały odziedziczyć puściznę Brzeszcza i dalej prowadzić jego dzieło. Naprzód urodził się Ignaś, potem Marynia, Jadzi jeszcze nie było na świecie, gdy grom nieszczęścia uderzył. Marski długie miesiące przebył w więzieniu, potem zapadł wyrok wysyłający go na ostatnie krańce Sybiru, gdzieś pod lody biegunowe, do krainy Jakutów. Pani Teresa towarzyszyć mu chciała, ale mąż zaklinał ją by nie narażała dzieci na życie, jakie miało być jego udziałem. Przypominał, że są obowiązki, które spełniać powinna za siebie i za niego. Przysięgał, że sam potrafi znieść wszystko z myślą o niej...

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Poezje.* Lucyan Rydel. Nakładem księgarni D. E. Friedleina. 1901. str. 148.

Znałem bardzo zdolnego grajka, o którym ludzie na jego pochwałę powiadali mi: „On ma, wiecie, taki talant, że co usłyszy, to wygra“. I grał wszystko z pamięci: góralskie śpiewki, kołomyjki, mazury, czardasze, kujawiaki, miejskie tańce, ba, nawet marsz Radeckiego, a jakże. „Jeno ze siebie to nic nie potrafi“ — powiadali mi na ucho.— „Ale co ta o to, kiedy gra, aż dusza skacze“. I przepięknie grał. Mógł całą noc grać, do rana, a ręka mu nie zwisła. Kiwał się drzemający, a uparcie grał.

Zdaje mi się, że p. Rydel ma taki „talant“. Co usłyszy, to wygra, nawet bardzo ładnie. Ale wygra po swojemu, na odmienną nutę. Wszystko u niego cacane, wymuskane, słodkie, nawet krzyk ma jakieś tony miękkie, jak w pierzynie. Nie dziwota, że go p. Gawalewicz „przyciskał do serca“ już po pierwszem wydaniu jego „poezji“. Dusze tkliwe zawdy liryzm ogarnia, gdy się zejdą; płaczą nad sobą z radości wielkiej, że się zeszły, że obie żyją współcześnie. To wzrusza! Ale takim lukrecjowym liryzmem cały tom przepojony — to za wiele. Po przeczytaniu całości, formułując wrażenie odniesione, można tylko powiedzieć słowami poezji p. Gawalewicza: „Tak mi jakoś... tak mi jakoś... że sam nie wiem“.

Ma też p. Rydel swoją ambicję poetycką, a jakże! Tetmajer napisał sześć sonetów z mitologicznych podań greckich. P. Rydel powiedział sobie: „Ja napiszę dwanaście“. I napisał. Ani o jeden mniej. Te sonety są też najlepszą częścią zbiorku. Tu trzeba było przedewszystkiem techniki piłowania i mozolnego rzeźbienia, a tę posiada p. Rydel bezsprzecznie i w wielkim nawet stopniu.

Połowę książki zajmują wierszyki, pisane do narzeczonej, na temat miłości, szczęścia i życia wiejskiego. Naturalnie: skowronek i słonko na tle złocistych zbóż. Tak mało szczerości w tem wszystkiem, że człowiek z podziwem myśli: Jak można pisać, nie czując? — A może kto t a k czuje, nie inaczej?

Chciałbym jeszcze zaznaczyć, że p. Rydel ma język czysty i włada nim świetnie. A pisząc, postępuje tylko w myśl chrześcijańskiej zasady: Na to Pan Bóg dał człowiekowi język, aby gadał. A skoro druk wynaleźli...

W. O.

*

Karol Kautsky. Zasady socjalizmu. — Londyn 1902 r. Pod powyższym tytułem ukazał się w tłumaczeniu polskiem program zw. erfurckim, uchwalony w 1891 r. na kongresie socjalnej demokracji niemieckiej. Program ten był zwrotem ku manifestowi komunistycznemu Marksa i Engelsa i znamionował zwycięstwo kierunku marksistowskiego nad lassalowskim. To też w programie erfurckim nie znajdujemy lassalowskich żądań, znajdujących się jeszcze w programie gottajskim z 1875 r. o zapomodze państwowej 100 miljonów marek na wytwórcze stowarzyszenia robotnicze, które miałyby przeobrazić ustrój społeczny; ani też twierdzeń o żelaznem prawie płacy, na mocy którego w dzisiejszym ustroju wszelkie polepszenie się zarobków robotniczych sprowadzić musi nadmierne rozmnażanie się tej klasy, co ma prowadzić do nędzy, dziesiątkującej jej szeregi.

Program erfurcki szuka uzasadnienia nie w racjonalistycznej filozofji, w pojęciach o jakimś sprawiedliwym

rzeczy porządku, a w rozwojowym materjalizmie dziejowym Marksa i Engelsa. Program erfurcki jest popularyzacją socjologicznych i ekonomicznych poglądów Marsa. Zasadnicze twierdzenia programu erfurckiego spotykamy już w manifeście komunistycznym r. 1847, mianowicie: wyzwolenie proletarjatu winno być dziełem samego proletarjatu, po za proletarjatem wszystkie inne klasy są żywiołem wstecznym, drobny producent i rzemieślnik i chłop skazani są na przejście do szeregu najmitów, jako klasy społeczne skazane są na wymarcie, interesy proletarjatu wszystkich krajów są solidarne. Otóż powyższe twierdzenia usiłuje udowodnić w uzasadnieniu programu erfurckiego najwybitniejszy teoretyk niemieckiej socjalnej demokracji, K. Kautsky, co stanowi główną treść „Zasad socjalizmu“. W związku z powyższemi twierdzeniami pozostają poglądy Marksa na pracę najemną, kryzysy ekonomiczne, zostały też one w znacznej mierze uwzględnione i spopularyzowane przez Kautsky'ego. — Kautsky jest dobrym popularyzatorem, szkoda tylko, że tłumacze dali nam przekład, pozostawiający wiele do życzenia.

Wiele z powyżej wskazanych twierdzeń programu erfurckiego podważyła już krytyka naukowa. W języku polskim posiadamy przekład Bernsteina: „Zagadnienia socjalizmu“. Uzbrojony w wiedzę społecznych polityków, czyli tzw. socjalistów z katedry, Bernstein podaje krytyce zasadnicze postulaty marksizmu, przyjęte przez program erfurcki. W mojej Ekonomji politycznej czytelnik znajdzie krytykę poglądów na solidarność interesów proletarjatu różnych krajów, krytykę socjalistycznego pojęcia państwa i t. p.

Przetłumaczono na język polski program erfurcki, gdy on już jest przestarzały i tylko konserwatyzm większości obozu socjalistycznego nie zezwala na przeniesienie go do archiwum. *Wł. Studnicki.*

PISMA. *Pogląd na świat,* miesięcznik poświęcony wiedzy, sztuce i filozofji życia, zawiera między innemi obszerny artykuł Piotra Chmielowskiego, p. t. „Beletrystyka nasza w roku zeszłym“. Znakomity krytyk i historyk literatury, przechodzi tam pokrótce utwory jak „Wesele“ Wyspiańskiego, któremu nie przyznaje tych wszystkich tytułów, jak „wielki poeta“, „spadkobierca Mickiewicza i Słowackiego“, ale przyznaje siłę uczucia narodowego i oryginalność, „Zawiszę Czarnego“ Tetmajera, utwory Niemojewskiego, o którego legendach wyraża się bardzo pochlebnie, jako rzeczy wewnętrznie, zupełnie „nowożytnej, z zabarwieniem humanitarnem i idealistycznem“. Uznając następnie głębię uczucia w utworach Kasprowicza „Ginącemu światu“, rozprawia się z materjałem twórczym Przybyszewskiego, poczem po kolei poświęca szereg uwag ostatnim dziełom Wójcickiej, Feldmanna, Konczyńskiego, Staffa, Wiśniowskiego, Daniłowskiego, Lewandowskiego, Biedera, Godlewskiego, Orwicza, Habdanka, Lemera, Weyssenhoffa, Paszkowskiego, Pytlińskiego, Konara, Orzeszkowej, Walewskiej, Krechowieckiego, Gruszeckiego, Jahołkowskiej, Suszczyńskiej, Domańskiej, Krzywoszewskiego, Sielskiego, Strzelbickiego i Marjańskiego.

Jak widać z tego spisu nazwisk, materjał sprawozdawczo-krytyczny nagromadzony w artykule, jest tak ogromny, że o wyczerpaniu go mowy być nie może. Przerasta on w wysokim stopniu nawet to, co objęte tytułem, bo zawiera nietylko beletrystykę i nietylko rok zeszły, lecz kilka lat ostatnich. W treści zawiera on tylko wskazówki, co do tych pisarzy i ich dzieł, mogące służyć zarazem ilościowo i jakościowo jako obraz twórczości polskiej doby ostatniej i jako orjentacja, co z tego wszystkiego warto czytać. Przypatrując się całokształtowi twórczości literackiej, może sobie każdy na podstawie tego artykułu, wedle własnego upodobania wybierać, co woli. Należy się za to autorowi wdzięczność i podziw zarazem z powodu olbrzymiej pracy, jaką włożyć musiał we wniknięcie w taki ogrom materjału. *S. W.*

*

Poradnik językowy, wychodzący w Krakowie, pod redakcją prof. Romana Zawilińskiego, zawiera w Nr. 2 z r. b. między innemi rozprawkę Dr. Jana Rozwadowskiego na temat: „Język literacki a mowa żywa“. Język literacki określa p. Rozwadowski w ten sposób: „Jestto pierwotnie tylko jedno z licznych narzeczy, które wskutek rozmaitych okoliczności zostało siłą rzeczy uznane za wzorowe, za piętno ludzi, mających prawo uważać się za pierwszych w narodzie. Oczywiście, że określenie języka literackiego, jako sztucznego, rozumie się względnie w porównaniu z rozwojem jednolitych narzeczy, które pozostają narzeczami, to jest sposobami mówienia pewnej określonej liczby ludzi, tworzących jedną zwartą całość w łonie narodu. Rozwinięty zaś język literacki jest niejako średnią tych wszystkich, w sobie jednolitych sposobów mówienia“. Dalej występuje p. R. przeciw wzbogacaniu języka dziwolągami obcymi. „Tę chwałę wzbogacania zyskali niepodzielnie galicyjscy urzędnicy najrozmaitszych wydziałów, a raczej najrozmaitsze galicyjskie dyrekcje. Po pierwsze — mówi — praca językowa (nowotwory na oddanie różnych wyrazów obcego języka i t. d.) nie odbywa się tam sposobem przyrodzonym, nieświadomym, tylko bezmyślnie — bezmyślnie, a nieświadomie, to całkiem co innego — całemi kupami i pospiesznie; a powtóre, powierzają te rzeczy ludziom niezdolnym do nich. „Poradnik“ — radzi p. R. — powinien się starać o utworzenie centralnej komisji do układania po polsku wszystkich przepisów, ustaw i rozporządzeń urzędowych. Komisja taka powinna się składać nietylko z językoznawców, ale w równej mierze z wybitnych i ogólnie za mistrzów języka uznanych literatów“. Dalej, mówiąc o „wzbogacaniu“ języka z bezmyślności powstałymi nowotworami, występuje bardzo ostro przeciw znanemu niedbalstwu codziennych pism. Uważa on, i słusznie, że ustawiczne wpływy na prasę państwowych języków w zagrabionych dzielnicach Polski mogą powodować powolne rozpadanie się polszczyzny na trzy języki. Obronę przeciw temu niebezpieczeństwu widzi jedynie w piętnowaniu każdego zaniedbania, każdej zbrodni gramatycznej w prasie. To zadanie winien spełniać „Poradnik językowy“. *W. O.*

*

Chochoł (wesołe pisemko, dwutygodnik) począł wychodzić w Krakowie od 10. stycznia. Ukazały się już dwa numera. W pierwszym na okładce widzimy „Chochoła“, parafrazującego słowa swoje z „Wesela“:

Kto mnie wołał,
czego chciał?!
Zebrałem sie, w com ta miał:
Będę kpił,
będę drwił,
będę chłostał, będę prał... itd.

Spodziewaćby się można było po tej zapowiedzi satyry niebylejakiej. Tymczasem z wyszłych numerów nie widać tego „prania“; jest chęć, staranie się o dowcip rzetelny, ale rozpędu, jaki powstaje, gdy coś się czyni z celem dalszym, niema. Jakkolwiekbądź — jestto pisemko z „humorystycznych“ pism polskich najlepsze. Przedewszystkiem posiada rysunki prawdziwie artystyczne. To już wiele. Skupiło kilku młodych artystów-malarzy, którzy z czasem, pogłębiając się, mogą rozwinąć pisemko i uczynić „Chochoła“ pismem na podobieństwo monachijskiego Simplicissimusa. *W. O.*

SZTUKA. *Drzeworytnictwo.* W ostatnim numerze „Tygodnika illustrowanego“, na pierwszej stronicy, pojawiła się nader rzadka obecnie rzecz w illustrowanych pismach... d r z e w o r y t. Jeden z ostatnich naszych drzeworytników, p. Holewiński, przypomniał w ten sposób polskiemu społeczeństwu, że w naszych oczach zginęła gałęź sztuki polskiej, noszącej pod wielu względami swojskie, odrębne piętno. Od r. 1842, to jest od ozdobienia drzeworytami „starożytnej Polski“, „Witoloraudy“, „Legendy poetów polskich“ przez Smokowskiego, rozpoczyna się właściwy okres drzeworytnictwa polskiego, który trwa aż do roku 1890. W r. 1856 pojawia się imię Drążkiewicza, 1859 r. Münchheimer rytuje „W wolnych żartach“ i „Przyjacielu dzieci“, zjawiają się dalej: Styfi, Szymborski i Krzyżanowski. Od r. 1859 istnieje stała drzeworytnia przy „Tygodniku illustrowanym“, gdzie pracują: Bojarski, Regulski, Fryk, Przyborski, Gorazdowski, Schübeler, Zabłocki, Karmański. Od r. 1867 wychodzące „Kłosy“ wzięły Styfiego. Znane są nazwiska drzeworytników, jak: Chełmicki, Zajkowski, Puc i Nicz. Nawet kobiety, jak pani Styfi z domu Wóycicka i panna Kleczeńska, pracowały przez kilka lat w tym zawodzie. Najwybitniejszym i najwszechstronniejszym pozostał jednak dzisiejszy przeżytek epoki drzeworytnictwa polskiego, p. Holewiński. Kto zna dawniejsze roczniki „Kłosów“, „Tygodnika illustrowanego“ i „Wieńca“, gdzie we wszystkich kierunkach spotykało się drzeworyty doskonałe, temu nie sposób jest nie żałować tej uschłej dziś gałęzi sztuki polskiej. Dziś pisma illustrowane warszawskie są wyrazem upadku illustracji polskiej. W roku 1880 zjawia się sito cienkolinijne, jako sposób przenoszenia fotografji na płytę cynkową i od tego czasu znikają drzeworyty z pism naszych, jak śnieg ciepłą wodą zmywany. Znika linja z naszych krajobrazów, rysunków starych zabytków budowlanych lub portretów. Giną rysownicy. Aparat fotograficzny i siatka na szkle, wyparły całą uciechę zdobniczą, jaką miał czytelnik z dawniejszych drzeworytów, i zastąpiły dawną rękę artystów gromadą czarnych kropek o rozmaitej gęstości.

Niezmiernie ciekawem dla dziejów naszej kultury jest zjawisko, że właśnie około połowy 19-tego stulecia, to jest wtedy, kiedy powstawał nowy okres współczesnego drzeworytnictwa polskiego, schły ostatnie gałązki sztuki drzeworytniczej wśród ludu, która charakterem swoim i przedmiotem roboty zaczepiała wręcz o drzeworyty krakowskie końca 15-tego wieku i całe stulecie XVI. W Narolu, miasteczku galicyjskiem, była szkoła drzeworytnicza obrazów, dla ludu na odpusty i jarmarki przeznaczonych. W zbiorach p. Dembowskiej w Zakopanem znajdują się te płyty o przepysznej starej technice w żłobieniu drzewa, niektóre ze starości przez robactwo silnie popsute. Jedna z tych płyt jest obustronnie ciętą, a poznać można bardzo dobrze, który obraz w późniejszych czasach powstał. Tak zgasły ostatnie promienie sztuki polskiej, która przez półczwarta stulecia kwitła na ziemiach polskich i zeszła nawet do ludu pod strzechy drobnomieszczańskie. *Kaz. Mokł.*

*

Wystawa projektów na urządzenie wewnętrzne domu, urządzona w muzeum przemysłowem miejskiem, nasunęła uwagę, rzucającą na współczesną twórczość polską znamienne światło. Wśród szeregu rysunków, czasami wybornie uczynionych, gdzie widać rękę doskonale z formami obeznaną, jedynie dwa nagrodzone projekty p. Gosienieckiego i p. Brzegi, utrzymane są czysto w charakterze. Większość pomysłów objawia się dziwaczną mięszaniną tak zwanej „secesji“ i zakopiańszczyzny. Czasem zdobienie kołkowe na japońsko-angielsko-wiedeńskich mebelkach, ma przypominać swojszczyznę. Gdzieindziej zakopiański mebel wsadzony jest do secesyjnie urządzonego pokoju. Są wprawdzie też projekty czysto „secesyjne“, ale wobec zalania rynku wydawniczego przez niezliczone publikacje angielskie, a jeszcze bardziej niemieckie, nikt wiedzieć nie może, czy to nie są udatne rysunkowe... kopie. Nie dziwo, że p. Kowáts, jako człowiek obeznany z formami góralszczyzny, wręcz zaznaczył, że projekty pp. Gosienieckiego i Brzegi to są jedyne pomysły, któreby mogły zwrócić uwagę Europy, czystością i wyłącznością swojego charakteru. Nad wszystkimi innymi ośmnastoma przeszłaby ona do porządku dziennego. Powyższe słowa p. Kowátsa zapisać należy jako poważny zwrot w opinji architektów lwowskich w stosunku do sztuki narodowej, który i w p r a k t y c e u n i c h o b j a w i ć s i ę w i n i e n. *(k. m.)*

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8